

Nie wiadomo, po co się jedzie. Z Andrzejem Stasiukiem* rozmawia Agnieszka Cytacka**

Agnieszka Cytacka: Po co się wyjeżdża? Zanim Pan odpowie, przytoczę fragment *Wschodu*:

Nie wiadomo, po co się wyjeżdża. Wszystko jest zbyt męczące, by nazwać to przyjemnością. Sraczka, udar słoneczny, choroba wysokościowa. W kieszeni stale masz papier i mokre chusteczki. Poruszasz się w nieznannej przestrzeni i zastanawiasz, czy zdążysz. Zastanawiasz się, jak daleko możesz odejść od miejsca, w którym jest coś na podobieństwo kibla. Wieczorem trzęsiesz się w śpiworze, jakbyś miał grypę, ale to od słońca. Serce bije szybkim, podskórnym rytmem i nie można spać, bo wjechałeś na te cztery tysiące metrów na łeb na szyję, bez przygotowania. Wszystko, co widzisz, cały ten nadprzyrodzony i przedwieczny Pamir, przesłonięte jest zmęczeniem, cielesnością. Własne, ale nieco obce ciało odgradza od cudowności świata. Tak. Oprócz bagażu dźwigasz ciepło mięsa? Im dalej od domu, tym cięższe.

Andrzej Stasiuk: Dla tego ciepłego mięsa, żeby poczuć rodzaj obcości własnego ciała, i dla tej udręki, czegoś w rodzaju heroizmu. Dla górniarskiego bohaterstwa. Po to, żeby odczuwać fizyczność przemieszczania w przestrzeni. Czytałem mądrych ludzi, starszych ode mnie, którzy podróżują nie dla zaspokajania ciekawości, tylko w celu pokonania swojego strachu, lęku, złych uczuć.

* Andrzej Stasiuk prozaik, eseista, publicysta i wydawca. Laureat wielu nagród, m.in. Nagrody Fundacji im. Kościelskich, Nagrody Literackiej „Nike” i Nagrody Literackiej Gdynia. Autor m.in. *Murów Hebronu* (1992), *Dukli* (1997), *Jadąc do Babadag* (2004), *Dziennika pisanego później* (2010). Jego książki zostały przetłumaczone na języki obce, m.in. angielski, fiński, francuski, niemiecki, rosyjski, norweski, ukraiński, węgierski, włoski, czeski, rumuński.

** Prezentujemy dwie łódzkie rozmowy z Autorem: pierwsza, poświęcona *Wschodowi*, odbyła się Poleskim Ośrodku Sztuki 7 grudnia 2014 r., druga zaś, dotycząca książki *Życie to jednak strata jest. Andrzej Stasiuk w rozmowach z Dorotą Wodecką* – 17 maja 2015 r. w ramach cyklu Teatru Nowego im. Kazimierza Dejmka „Mała Literacka – spotkania wielkiego formatu”.

Trzeba oddalić się od domu, żeby dowiedzieć się o sobie chociaż kilku rzeczy innych niż te, których dowiadujesz się w domu. Tak naprawdę strasznie lubię jeździć, a cała reszta to szukanie pretekstu. Potem konstruuje się z tego książkę. Podstawowe fizyczności podróży obudowuje się quasi-filozofią, mędrkowaniem. Lubię jeździć, lubię patrzeć na świat. A kiedy wracam, to po pierwsze jestem szczęśliwy, że się już skończyło, a po drugie – już chcę tam wracać. A że nie jestem zawodowym podróżnikiem, więc żeby tam wrócić, piszę książki. Nie wiem, po co się podróżuje, ja strasznie lubię być w domu. Moje miejsce, które muszę nieustannie zdradzać, to mój dom, fotel, krzesło i widok z okna. Niesamowita jest radość powrotu, kiedy przemierzyłeś piętnaście tysięcy kilometrów i w cudowny sposób zatoczyłeś koło. Zajeżdżasz, są twoje psy, które cię witają. Potem się siada, po to, żeby myśleć, tęsknić do tego świata, który się porzuciło. To jest najstarszy instynkt człowieka.

AC: Czasami wydaje się, że podróżuje się po to, żeby wypełnić pustkę. Ale Pan, opowiadając o Wschodzie, o połaciach przestrzeni, mówi, że jedzie tam właśnie w poszukiwaniu pustki.

AS: Być może jest to jakaś ucieczka. Może o to chodzi, żeby porzucić wszystko, żeby umysł mógł swobodniej pracować. W Polsce nie da się żyć, wszędzie jest jakieś znaczenie, to jest opresyjne. A na Wschodzie... Już się wydawało, że wszystko poukładane: kapitalizm, ludzie nie będą za nic umierać, tylko ze starości. A teraz co się dzieje? Zabijają się za idee, rzeczy, które w świecie zachodnim wydawały się już zdezaktualizowane. Dla stu rzeczy się jeździ. Tam jest tania benzyna, tym niektórych przekonuję. Mam wrażenie, że wszystko, co się dzieje potem, to szukanie usprawiedliwienia dla tego, że się pojechało, dla tych chłopackich przyjemności. Później za pomocą literatury próbuję to udoroślić.

AC: Napisał Pan, że jadąc na Wschód, wziął Pan za dużo rzeczy, choć i tak było ich bardzo mało. Jak się przygotowuje ekwipunek?

AS: Wziąłem dużo części – na wypadek, gdyby moje cudowne japońskie auto się zepsuło. Pięćdziesiąt kilo, cały bagażnik. A przez te siedemnaście tysięcy kilometrów raz dolałem oleju i koło dopompowałem. Ryzyko – jedziesz furą w świat, gdzie tych fur jest mało albo w ogóle. To kręci: zepsuje się? Nie zepsuje się?

AC: A czy bez samochodu ta podróż byłaby możliwa?

AS: Mówię tylko o tej ostatniej podróży. Wcześniej podróżowaliśmy normalnie, jak ludzie – samolotem, autobusami, pociągami. Zaczęło się od tego, że pięć-sześć lat temu okazało się, że nasz znajomy jest konsulem w Irkucku. Pojechalśmy, grzech nie pojechać. Od Irkucka się zaczęło. Strasznie bronilem się przed Wschodem – to dzicz, co ja tam będę jeździł. Rosja, każdy Polak wie o Rosji wszystko.

AC: Dlaczego podróżnik na południe jedzie na Wschód?

AS: Południe za szybko się kończy. Na Bałkanach zrobiło się ciasno. Przejechałem je wzdłuż i wszerz i straciły kompletnie seksapil. To był taki trening: kraje bliższe a trochę egzotyczne. Rosją w pewien sposób zaraził mnie Jerzy Pilch. Kazał mi czytać Andrieja Płatonowa, największego pisarza XX wieku, przynajmniej tej części świata. Przesłał mi biografię, zdjęcie – sentymentalny gest pisarza. Cyniczny Pilch, szyderca, wkłada do koperty zdjęcie. Od tego się

zaczęło, od potrzeby zrozumienia, skąd się wziąłem. Nie ma co się oszukiwać, jestem dzieckiem komunizmu. Strasznie irytowało mnie odcięcie się Polski i innych krajów tej części Europy od swojej przeszłości – okrutnej, zbrodniczej. Jako człowiek przekorny zacząłem jeździć w ten postkomunizm. Z dużą ciekawością sprawdzam, czego uniknęliśmy. Jeżdżę w głąb tego świata potwornego, który zmienił nasze życie i zmienia do tej pory.

AC: Czy podróż na Wschód jest podróżą w czasie?

AS: Na pewno. Kiedy jedzie się do Kirgistanu, w centrum widzi się wielkie wesołe miasteczko, zbudowane z takich elementów, jakie się pamięta sprzed trzydziestu-czterdziestu lat z polskich wsi. A jednocześnie jest to miasto gigantyczne i połowa jego mieszkańców tam siedzi. Przypominają się wiejskie odpusty z Podlasia, z Mazowsza. Po to też się jeździ. Widać, że od trzynastego wieku, od czasów Czyngis-chana nie zmieniło się nic. Elementy kultury pasterskiej trwają. Masz poczucie, że wjeżdżasz w starowiecze. Oczywiście są anteny satelitarne na dachach, czasem motocykl stoi, a jednocześnie widzisz, że ludzie żyją w rytmie od stuleci niezmiennym. Przedziwne pomieszanie postnowoczesności z archaizmem. Jedzie się też, żeby zobaczyć, po co oni tu przyjechali na tych swoich koniach. Kiedy się jest na tym stepie, zaczyna się to rozumieć: jedziesz, dopóki można jechać, przy okazji porabować, spalić. Potem się jedzie przez granicę do Chin i w jakimś sensie ogląda się przeszłość a jednocześnie przyszłość, która nam grozi. To jest kraj o możliwościach, które nam się nie śniły. Takie rzeczy przychodzą do głowy: sprawdzić, jak ten świat działa.

AC: Jeździ Pan również dla ludzi, których tam spotyka?

AS: To nie jest tak, że ja jeżdżę słuchać tych ludzi, broń Boże. Przed wszystkim zawsze cię okłamią. Spotyka się podróżnych, czasem trzeba pomóc, ale nie mam potrzeby kontaktu z ludźmi. Żałuję, że mój rosyjski jest kulawy, ale nie jestem ciekaw ludzkich losów. To nieludzkie, ale człowieczeństwo jest elementem pejzażu. Nie jadę, nie proszę „opowiedz mi swoje życie”. Fascynuje mnie, że on patrzy na mnie jak na idiotę – po co ja tu przyjechałem? Ja patrzę na niego jak na kogoś całkiem obcego a jednocześnie żyjącego w swoim świecie. Wysilek, żeby to zrozumieć, pojąć, wydaje mi się utopijny. Ale jak jadę sam, to zbieram wszystkich, którzy po drodze machają. W Kazachstanie miałem taką przygodę: czterdzieści stopni, macha, zatrzymuję się, daję mu wody przede wszystkim. I opowiada: miał wizję, był narkomanem, teraz jego życie się odmieniło, ma zamiar zostać władcą Kazachstanu – za lat trzydzieści. Póki co podróżuje, odbywa pielgrzymkę do miejsc pamięci. Potem wysiada w taką samą pustkę, jakaś kopuła rysuje się na horyzoncie. Takie przygody. Zabrałeś szaleńca, wspaniałego szaleńca – darował ci życie. Albo jedziesz, przy drodze zgruchotana łada: „Pociągnij mnie do najbliższego skrzyżowania”. Otwierasz mapę: sto pięćdziesiąt kilometrów.

AC: Jadąc z kimś, nie zamykamy się na to, co na zewnątrz?

AS: Ale to nic złego, możemy się zamknąć. To twoja sprawa, dopóki nie jesteś arogancki, nie jedziesz z poczuciem wyższości, dopóki masz pokorę. Nie mamy obowiązku się otwierać, jedzie się sprawdzić, co się dzieje w twojej głowie. W co zamienia się umysł zanurzony w obcości. Przy okazji powstają historie, które oddają hołd światu i jego różnorodności.

AC: Wraca Pan, pisze książkę. *Wschód* jest książką bardzo prywatną, ale dotyczy też historii. Który aspekt jest ważniejszy?

AS: Osobisty. Rzeczywiście, jest to dosyć intymna historia komunizmu, historia moich rodziców. Prywatna historia tego, skąd ja się wziąłem. Mówię o współczesnej wędrówce ludów lat czterdziestych-pięćdziesiątych, kiedy realizowało się gigantyczne społeczne założenie, żeby chłopci zostali robotnikami. Żeby to dobrze napisać, trzeba było pojechać daleko, nie ugrzęznąć w prowincjonalnej, bardzo osobistej atmosferze tej opowieści. Chciałem napisać książkę epicką, a epika to jest przestrzeń, spojrzenie z góry, boskie. Od czasów wielkich wędrówek ludów niewiele się zmienia, wielkie masy ciągle się przemieszczają. Dla mnie wędrówka jest kaprysem, wyborem, dla innych – koniecznością. Tak samo dla moich rodziców, jak i dzieciarni, która pojechała budować Londyn i Brukselę. To się nigdy nie kończy, wędrujemy.

AC: Wędrujemy, ale też coś nas zatrzymuje, np. prawy brzeg Wisły w przypadku Pańskich rodziców. Czy granice też są wpisane w sens podróżowania?

AS: Co to za wędrówka bez granicy? Ani stempla w paszporcie, ani krajobraz się nie zmienia. Jest sens granic – i polityczny, i historyczny, i społeczny. Przekraczanie granicy mongolsko-chińskiej to nie do opisanego! Granica jest czymś potwornym, a jednocześnie kapitalnym. Kiedy wracałem tego roku, jechałem przez Rosję, Ukrainę, pojechałem przez Kursk. Nie chciałem jechać przez część wschodnią, bo się zwyczajnie bałem. I wtedy dowiedziałem się, że zestrzelono samolot. Byłem zmęczony, zatrzymałem się w przydrożnym hotelu. Rano jem śniadanie, widzę: ruskie czołgi. Granica za kilometr, jestem po rosyjskiej stronie. Myślę: internują mnie, zabiorą paszport, koniec. Dojeżdżam do granicy, pusto, ani żywej duszy. A Rosjanie uśmiechnięci: „odkuda?”. „Z Tadzyskistanu”. „Adin?”. „Da, adin”. „Maładiec!”. Przyszli, poklepali po ramieniu. Pyk, pyk, stemple. Przeszedłem kontrolę w pięć minut. Po ukraińskiej stronie osiemnastoletnia dzieciarnia w za dużych mundurach. Absolutna depresja, przekonanie, że spotykają się z czymś większym.

AC: Mówił Pan, że podróżując na Wschód, chciał dojrzeć. Czy podróżowanie jest również przekraczaniem granic wewnętrznych?

AS: Jasne – strachu, uprzedzenia, lęku. Każdy Polak wie, co się co dzieje na Wschodzie, każdy się boi. Nie sztuka pyszczyć w Warszawie, sztuka pyszczyć w Moskwie. Czuję się dłużnikiem Wschodu, zresztą Polska też składa się ze wschodu i z zachodu, choć moim zdaniem jest bardziej wschodnia. Te wszystkie potworne, krwawe, zajebiste rzeczy działy się tam. Te szekspirowskie historie wśród kresowych królestw. To wszystko, co później Sienkiewicz zamienił w banalne, płaskie bohaterstwo. Stąd się wzięła cała polska mitologia, z tego pomieszania. Pijani Polacy śpiewają po rosyjsku albo ukraińsku, od razu są na stepie szerokim.

AC: Im dalej na Wschód, tym większe niebezpieczeństwo, większy strach, większe okrucieństwo?

AS: Nie okrucieństwo, inny stosunek do istnienia. Bardziej ekstrawagancki, bardziej rozrzutny. Coś w rodzaju nieskończoności dostępnej ludzkim zmysłem. Jedziesz trzy dni, nic się nie zmienia. Ten horyzont, który

jest coraz dalej. Z całym szacunkiem dla naszego umiłowanego Zachodu, ale jedziesz cztery tysiące i koniec. Lubię, jak jest daleko. Możesz zjechać w prawo, w lewo, rozbić namiot i mieć pewność, że będziesz spał w absolutnej ciszy, nikt się nie zjawi. Tam można mieć złudne, dziecinne uczucie, że jest się jedynym, pierwszym człowiekiem na ziemi.

AC: Jest taki fragment, kiedy Pan pisze o swojej matce:

(...) wracam na Wschód, chociaż właściwie nigdy go nie opuściłem, ponieważ tylko głupcom może się wydawać, że prawdziwe życie jest gdzie indziej. A prawdziwe życie zawsze jest tu, w samym środku. Czasem próbujemy się oddalać, próbujemy się oderwać, uciec, ale to zawsze jest sprężysta spirala, dlatego wracamy jak odpustowa piłka na gumce. Chyba że wyrwiemy sobie kawałek żywego mięsa, ale wtedy umrzemy z upływu krwi. W końcu macha ręką zrezygnowana i mówi: a kto by tam za tobą nadążył?

AS: Moja mama była prostą kobietą ze wsi, przepędzoną do miasta, przepracowaną. Miała takie poczucie, że pisarz, którego pokazują w telewizji, powinien jeździć do Grecji, do Hiszpanii, a nie do Mongolii. Tu jest spór z jej tożsamością: dla tych ludzi ze wsi przenoszonych do miasta największym wstydem było, kiedy ktoś się dowiedział, że byli wieśniakami. Pamiętam te obsesje udawania miejskości. Może ten Wschód jest wiejskością. Spór z mamą nie jest tu czysto literacki, wykorzystuję go do dyskusji z samym sobą, ze swoją przeszłością. Z tym skąd się wziąłem i dokąd chciałbym wrócić, pisarsko i życiowo. Ona jest główną bohaterką tej książki, trzy tygodnie temu umarła. Prosta kobieta, ale próbowała czytać książki. Jest tu taki fragment: była bardzo schorowana, ledwo chodziła, po domu słychać było ciągle „szu-szu”. Odwiedzałem ją w szpitalu, tydzień przed śmiercią była po lekturze *Wschodu*. Usiadła z tą laseczką na szpitalnym korytarzu. „Andrzej, czy musiałeś tak?”. „O co ci chodzi?”. „O to, jak to napisałeś o mnie”. „Wszyscy mówią, że to najlepszy moment w tej książce”. „Ale musiałeś, że ja tak tylko szu-szu? Przecież ja księdza Twardowskiego czytałam, przecież ja nawet Platona czytałam. Nie mogłeś o tym wspomnieć?”. *Wschód* włożyliśmy jej do trumny. Pofrunęła ze Wschodem, pofrunęła ze swoim radiem tranzystorowym, na którym Radia Maryja słuchała. I księdza Twardowskiego też włożyliśmy. To bardzo prywatna książka, choć występują w niej i Mao Tse-tung, i Stalin.

AC: Przytoczyłam ten fragment również z tego powodu, że – jak Pan mówi – życie zawsze jest w samym środku. W innym momencie pisze Pan:

No bo jak to jest? Że z czasem oddalamy się od miejsca własnych rodzin i to ma być ucieczka, zdrada, emigracja? I wszystko, co robimy, jest próbą powrotu? Że życie to wygnanie? Jak u jakichś bośniackich bogomilów? I jak u Breakoutu, że „rzeka dzieciństwa”? Jak ten mój Bug, nad który muszę czasami powrócić, żeby choć na chwilę wymknąć się wygnaniu i przechytryć samotność? Jak to jest? Że im szersze zataczamy kręgi, tym wyraźniejszy jest środek tego krążenia i tym silniejsze przyciąganie.

AC: Czym jest ten środek, do którego Pan wraca?

AS: Jest źródłem istnienia, które nas z wiekiem coraz bardziej interesuje, ponieważ istnienie nam się wyczerpuje. To jest biologia, to są odruchy,

instynkty. Wracam nad ten swój Bug, gdzie się nie urodziłem wprawdzie, ale mnóstwo czasu spędzałem. Powracam do czegoś fundamentalnego. Tam wszystko wiem, ale jest też literacko: zielono, pejzaże. Linia Mołotowa, hitlerowcy się czają. Wieś płacze, jak hitlerowcy odeszli, bo tacy porządni, płacili, jak kurę wzięli. Tacy eleganccy, porządek we wsi zaprowadzili. Wraca się do takich rzeczy, pewnie z wiekiem. Kiedy jest się młodszym, nie ma czasu na takie wyprawy. Życie wtedy jest gdzie indziej, dlatego uciekasz z domu, dlatego to wszystko zdradzasz. A Bug to rzeka rzek, rozgranicza cywilizacje: za nim to już stepy, białoruskość. Kiedy stwierdzimy, że ten świat w swoich pokusach jest już niewiele wart, to wracamy, skąd się wzięliśmy.

AC: Będziemy rozmawiać o książce, której Andrzej Stasiuk nie napisał, ale którą opowiedział. Książka ta ma dwoje autorów: pierwszym jest Andrzej Stasiuk, drugim – Dorota Wodecka, która w ciągu sześciu lat spotkań spisywała jego opowieści. Jak to się stało, że ktoś zagościł w Pana życiu na tak długo?

AS: Po prostu któregoś dnia przyjechała... Wie Pani, ja mam kłopot z dziennikarzami, bo chętnie wchodzę z nimi w kontakt. Czasem bywa to nieprzyjemne, ale pani Dorota miała niezwykłą zdolność wpływu na mnie i mówiłem to wszystko, co ona chciała, żebym powiedział. A nawet więcej, bo mnóstwo rzeczy do książki nie weszło, staraliśmy się zachować przyzwoitość. Tak się zdarza. Pani Dorota nie jest czystej krwi dziennikarką, to znaczy ten zawód bardzo jej nie uszkodził w sensie ludzkim. Dziennikarstwo jest skazane na pewną doraźność, powierzchowność, a my się z Dorotą zaprzyjaźniliśmy.

AC: Sześć lat to długi czas. Czy to, co powiedział Pan na początku spotkań, nadal jest aktualne?

AS: Wtedy było aktualne i na tym ta książka miała polegać, miała być zapisem upływu czasu. Czasu, w którym się mądrzeje albo głupieje. Rytm tych rozmów wyznaczały chyba moje książki. Dorota zjawiała się, kiedy je wydawałem. Spotykaliśmy się i rozmawialiśmy też poza wywiadami. To jest kobieta, zupełnie inne ryzyko rozmowy niż z facetem. Kobiecie człowiek chce wszystko opowiedzieć, zwłaszcza jeśli obdarza swojego rozmówcę jakimś zainteresowaniem. Z dziennikarzem-facetem to jest nieustanna napinka, idiotyczna rywalizacja, szukanie słabych punktów. A z kobietą – chcesz się do wszystkiego przyznać, uchodzić za kogoś bardziej interesującego, niż w istocie jesteś.

AC: Zastanawiam się, czy ten wywiad-rzeka mógłby jeszcze trwać?

AS: To nie jest wywiad-rzeka. To są po prostu kolejne rozmowy. Wywiad-rzeka rządzi się innymi prawami, rozmawia się non stop, w jednym przedziale czasowym. Dorota narzekała, że to za mało, że moglibyśmy jeszcze rozmawiać. Moglibyśmy, ale być może zacząłbym nudzić, o ile nie zacząłem już wcześniej.

AC: To książka, która mówi o zagadnieniach fundamentalnych. Jest bliska współczesnemu człowiekowi, można przy niej odetchnąć. Pokazuje Pan, że nie trzeba gnać, można żyć z przyjemnością i czerpać z tego korzyści.

AS: A cóż ja robię, jak nie gnam? Dzisiaj byłem w Warszawie, wczoraj siedziałem z czytelnikami trzy godziny, podpisywałem książki jak automat. A dzisiaj tutaj, a stąd będę za chwilę gnał do domu po to, żeby odechnąć. Może to jest kwestia mieszkania w pewnym oddaleniu. Kiedy tak się mieszka na wsi, to pewne rzeczy, które tak przejmują ludzi, wydają się nieistotne. A przynajmniej widzi się je w szerszej perspektywie. Proszę nie robić ze mnie mędrca, ja jestem tylko biednym chłopakiem z miasta, który się wyniósł na wieś i stara się żyć po wiejsku. Na dłuższym oddechu, w zgodzie z rytmem pór roku, wschodów i zachodów słońca. Ale z drugiej strony, wie Pani, w domu mamy przedsiębiorstwo – dosyć duże wydawnictwo, które prowadzi moja żona Monika. To nieustanna konfrontacja ze światem zewnętrznym. Ale jeżeli tak wyszło, że mam filozoficzny dystans, to ja się cieszę – znowu mi się udało!

AC: Zdecydowanie. To jest książka duchowa.

AS: To są ważne rzeczy, po prostu. Dla mnie najważniejsze, ja tym żyję. Nie wiem, czy duchowością, ale próbą dogadania się z własnym życiem, ze światem.

AC: Z jednej strony mówił Pan o pośpiechu – z Warszawy do Łodzi, z Łodzi do Wołowca, ale potem wybywa na długie miesiące do Mongolii. Jednak może Pan sobie pozwolić na wyprawę i życie, po prostu.

AS: Ale to będzie orka! Przejechać samochodem dwadzieścia tysięcy kilometrów przez dzikie kraje, to będzie wyścig – z czasem, z psiarnią post-sowiecką. Pozwalam sobie raz na rok, odkładając czas, pieniądze. Wielki luksus, rzeczywiście. Nie każdy, na przykład moja żona, może sobie na to pozwolić.

AC: W jednym z wywiadów, jakieś sześć lat temu, powiedział Pan, że podróżuje tylko z żoną.

AS: Tak się złożyło, że jeśli podróżujemy, to zawsze razem. Prawie zawsze, oczywiście nie w trasy literackie, bo by się zanudziła. Samotna podróż jest inną jakością, jest połowiczna. Kiedyś pisałem duży tekst, pojechałem na trzy tygodnie do Mołdawii i czułem się jak w tej piosence – jak czegoś ćwierć albo pół. Podróż to jest jedno, a dzielenie się tym, co widać, z kimś, kto siedzi obok, to wartość wielka i dodana. Mam świetną żonę – nigdy mi nie powiedziała „zabierz mnie do Paryża”, mówiła „zabierz mnie do Kiszyniowa”.

AC: Ale podróżuje Pan również samotnie.

AS: Samotnie jeżdżę po Polsce, na przykład kiedy zaspokajam czytelnicze żądze, ale to jest podróż do pracy.

AC: I pisze Pan wtedy?

AS: Nie, broń Boże, przecież to trzeba jechać, trzeba wstać, być w miarę przytomnym rano. Nie potrafię pisać poza własnym domem, poza własnym biurkiem. Mam dwa-trzy miejsca w domu, w których potrafię pisać. Podróż jest zbyt pochłaniająca, zbyt ekscytująca, żeby móc się duperelami zajmować. Do tego musi być oddzielny czas, oddzielne miejsce. Nie da się. Jak się jedzie, to się jedzie, całym sobą. Czasem trzeba się położyć, zdrzemnąć, pa-trzeć w gwiazdy, rozpalic ogień, a nie – pisać. Jak by to wyglądało, pisanie na pustyni Gobi. Absurdalnie! Wstyd!

AC: Jak wygląda przestrzeń pisarza?

AS: U nas bardzo dużo się dzieje, latem przyjeżdża młodzież, dzieciarnia przywozi swoich kumpli, a ja naprawdę potrzebuję coraz więcej ciszy i spokoju. Kupiłem stare próchno, postawiłem domek – jakieś dwadzieścia metrów powierzchni – i tam chodzę do pracy. Uznałem, że facet musi chodzić do pracy. Nawet jak tam nic nie zrobisz, to jednak wychodzisz i tam siedzisz, to jest twoja praca. Tak to działa. Komfortowa sytuacja: się siedzi i się pracuje, pisze. I wyjdzie albo nie wyjdzie. Nie ma nudniejszego zawodu dla obserwatora niż pisarz. Siedzi i... nic. Siedzi dalej i też nic.

AC: A kiedy odwiedzają Pana ciekawscy, to mogą tam zajrzeć?

AS: Nie będę oszukiwał: wiele zależy od mojego nastroju. Czasami przyjeżdżają i mówię „zaraz, nie można tak wejść do cudzego domu, ja tutaj śpię”. I słyszę: „ale my Pańskie książki czytamy...” Przyjeżdżają czasem ludzie, ale nie jest to Jasna Polana i Tołstoj, nie.

AC: Co zrobiło na Panu największe wrażenie w ciągu tych sześciu lat spotkań?

AS: Trudno wybrać jedno wydarzenie, chyba się polubiliśmy, po prostu. Szydzymy, kpimy z siebie z pewną czułością. Fajna jest Dorota, po prostu. Pierwszy raz miałem tak, że chciało się dalej rozmawiać z dziennikarzem. Zwykle jest ulga, że już sobie poszedł.

AC: Kto wybrał ten trochę językowo koślawy tytuł „Życie to jednak strata jest”?

AS: Specjalnie koślawy! To fragment tekstu, po prostu. Pani Dorota chciała taki niegroźny, żeby śmierci nie było, a ja powiedziałem: nie, absolutnie. Miał być taki, który przyciąga.

AC: Śmierci nie ma, ale jest życie, które jest stratą. Kiedyś przytoczył Pan słowa Marii Janion o tym, że żyjemy tracąc życie.

AS: Od któregoś momentu to jest jednak ważny problem: zaczynają umierać bliscy, przestajesz czuć tę nieśmiertelność, którą przez pierwszą część życia odczuwało się dosyć intensywnie. To miała być poważna książka.

AC: Jest poważna. Wróć jednak to tytułu: jakiej straty obawia się Pan najbardziej?

AS: Wiem, że wszystkiego już nie zrealizuję. Boję się tego, ale wiem, że to nastąpi. Najbardziej chyba utraty biologicznej energii, bo pomysły jeszcze są, nieustannie. Dopadają cię chęci, pragnienia, ale czy biologia da radę? Może w pół słowa, w pół gestu opuszczają cię siły. Kto tak pięknie umarł ostatnio? Bartoszewski. Ta książka jest nie tylko o śmierci, ale to tak niepopularny temat, że warto o niej rozmawiać. Zamiatamy problem pod dywan, udajemy, że jej nie ma, tymczasem ona jest. Przyjaciel mi umarł parę lat temu. Wtedy poczułem, że nie potrafiliśmy o tym rozmawiać, mówić wprost. Zawsze były jakieś ucieczki, głupie nadzieje. Potem mama mi umarła, siedem miesięcy temu. I tak zostajesz z tym, że nie dałeś rady, nie powiedziałeś.

AC: Zastanawiam się, czy gdyby rozmawiał Pan z Dorotą Wodecką dwadzieścia lat temu, to czy temat śmierci byłby równie ważny?

AS: Byłby nakręcony literacko, szczeniacki, ekstrawagancki, pewnie prowokacyjny. Tymczasem to jest strasznie zwyczajne, a jednocześnie

trudno znaleźć słowa do opisu. Dwadzieścia lat temu pewnie byśmy nie rozmawiali.

AC: Jak dzisiaj postrzega Pan swoje życie? Ponoć redaktor magazynu „Sukces” przyszedł do Pana i musiał odejść z niczym...

AS: Tak, jakieś trzydzieści lat temu. Ja w walonkach, w chałupie bez prądu, jak kretyn siedzę, zarośnięty. „A pan jakiś sukces odniósł?” To było zaraz po pierwszej książce, po *Murach Hebronu*, które były dosyć głośnym i skandalizującym debiutem. Za moich czasów słowo „sukces” było czymś obdarzanym wzdargą. Chcieliśmy być przegranymi, luzerami.

AC: Jak Pan postrzega taką publiczność, dwieście osób, na każdym spotkaniu? Jest Pan czytany nie tylko w Polsce, ale i za granicą. To co innego, niż bycie w szafasie, z dala od wszystkich...

AS: Jak to odczuwam? Jestem onieśmielony, a z drugiej strony myślę: „Znowu miałeś szczęście, nie zrobiłeś nic, sprawiałeś tylko sobie przyjemność, a okazuje się, że komuś jest to potrzebne”. Cieszę się, że mogę jeździć po kraju, że Państwo wciąż przychodzą, choć wciąż nie wiem, jak się zachować, to są bardzo intymne historie. Niewielu jest pisarzy, którzy mogą sobie pozwolić na nieistnienie. Pynchon jest chyba takim wielkim nieistniejącym. Nawet zdjęć jego nie ma, z wyjątkiem tych, kiedy miał osiemnaście lat i wystające zęby. Mam nadzieję, że Państwo się nie nudzicie, a ja nie wychodzę na straszego palanta. To jest bardzo dwuznaczne, trochę przypomina teatr. Gramy coś: ja szczerłość, a Państwo – zainteresowanie.

AC: A czy w tej książce też mamy grę w szczerłość?

AS: Nie, to nie jest literackie. Jeśli chciałem tam być kimś innym, niż jestem, to po to, żeby zaimponować Dorocie, żeby ją uwodzić tym, co potrafię powiedzieć. A ona prawdopodobnie udawała, że jest uwodziona. Ten tekst prawie nie był poprawiany, byłem na tyle szczerzy, na ile można być szczerzym w rozmowie.

AC: Trudno jest rozmawiać o tej książce jako o literaturze, trzeba o życiu. Tyle Pan już tutaj opowiedział, że boję się, by pytając nie zmusić Pana do powtarzania pewnych rzeczy. A jednak jeździ Pan ciągle na spotkania z publicznością, trudno chyba uniknąć powtórzeń?

AS: Mam słabą pamięć. A poważnie: staram się nie powtarzać. Wiele zależy od publiczności. Zawsze, za każdym razem jest inaczej, taką mam nadzieję. Czasem pojawia się poczucie błazeństwa, bo już czwarty raz coś się opowiada, ale w tym miejscu to akurat pasuje. To tak, jak z teatrem każdego wieczoru – tak samo, ale trochę inaczej.

AC: Jest tu taki fragment, kiedy Dorota Wodecka pyta Pana, czego najczęściej dotyczą pytania podczas spotkań autorskich. Pan mówi, że tego nie pamięta, ale zapamiętuje sytuacje indywidualne, podczas podpisywania książek. Co jest istotnego w tych spotkaniach z ludźmi?

AS: Nie potrafię na to odpowiedzieć. Są sytuacje, których nie da się zapomnieć. Kiedyś w Pile podszedł do mnie człowiek, siedemnaście-osiemnaście lat, miał łyzy w oczach. Napisałem jakiś fragment o Matce Boskiej. Gdzie to było? Chyba w *Dzienniku pisanym później* i on z rozpaczą pytał, jak ja mogłem coś takiego o Matce Boskiej napisać. A ja napisałem po prostu, że w modelu ludowego katolicyzmu Matka Boska jest czymś w rodzaju ofiary

pedofilów. Wydziedziczona ze swojej seksualności, zamieniona w malutką dziewczynkę. Ona w tym wszystkim, pośród tej najgorszej dziczy, pastery, musiała być boginią – psychicznie i fizycznie silną, kobietą demoniczną. Tłumaczyłem to temu chłopcu, w końcu przestały mu się oczy szklić. Wtedy poczułem, że mogłem tego chłopca skrzywdzić, ale jednocześnie to było moje zadanie – dyskusja z pewnym obrazem, schematem.

AC: Mówimy cały czas, że porusza Pan ważne tematy: śmierci, religijności, duchowości, stosunków politycznych, podróży. To może pomówmy o religijności: jak to jest być religijnym w Polsce?

AS: Nie wiem, nie zastanawiam się nad tym. Uważam się za osobę religijną, modłę się codziennie, w sposób zupełnie naturalny, bez uciekania się do tych, pięknych skądinąd, tekstów. Dlatego czasem wchodzę w spór z naszym Kościołem. Ma twarz taką nieprzejednaną. Byłem z bardzo katolickiej rodziny, ale jakoś ten katolicyzm odpłynął ode mnie. Natomiast od religijności nie odpłynąłem, wyobrażając sobie, że religia jest bardzo osobistym spotkaniem, bez pośredników, którzy być może na początku są potrzebni. Nie na darmo wszystkie wielkie religie rodziły się na pustyni, czyli albo w kontakcie z nicością, albo wśród samotnych szaleńców.

AC: A pisanie jest religijne?

AS: Myślę, że tak. Moje jest. Wszystkie moje książki są w jakimś sensie religijne, nawet jeśli to słowo nie pada, to jest przestrzeń, w której mogłoby paść. Co to za sztuka napisać „Pan Bóg”? Trzeba w opowieści zrobić miejsce, żeby ten Pan się manifestował albo żebyśmy podejrzewali jego istnienie. Potem można napisać „Polska” i już jest książka o Polsce. To nie jest metoda.

AC: Czy jest jakaś Polska, w jakiej Pan chciałby żyć? Często Pan pisze, że wynajduje sobie własną drogę, uciekając od różnych zależności.

AS: Chciałbym żyć w tej Polsce, w której żyję. Co nie oznacza, że czasem nie mam ochoty jej podpalić albo z niej wyjechać. Ale co ja zrobię bez tej Polski? Anglikiem zostanę? Przecież to niepoważne.

AC: To dlaczego ciągnie Pana na Wschód?

AS: Tak jak powiedziałem, wielkie religie rodziły się w pustce, a tam jest pusto. To pozwala doświadczyć wielkości świata, takiego świata, który jest mało cywilizowany, istniał przed nami. Kiedy patrzę na mapę, to zawsze w prawo skręcam, a strona prawa jest wyborem bardziej świętym. W lewo diabeł chodzi. Nie wiem, słucham instynktu. Całe dzieciństwo byłem związany z Polską wschodnią. Najprostsza rzecz: zakorzenienie w pejzażu dzieciństwa, do tego się wraca. A jak się pojechało, trzeba jechać dalej, aż mapa się skończy. Wschód jest w tej chwili przeklęty, jest odrzucony. A ja, jako natura przekorna, tam jeżdżę. I po rusku mówię lepiej niż po angielsku. Jeżdżę, bo tam jest ciekawie, a to najważniejsze. Tam się dzieją rzeczy i straszne. Jak nie Chiny, to Rosja, która nie pozwoli nam zasnąć i kosztować zachodniości. To jest fascynujący kraj. Boję się go, ale jeżdżę.

AC: Przed każdą podróżą odczuwa Pan tę ekscytację połączoną z niepokojem?

AS: Jasne! Co za sztuka jeździć do krajów, które są ładne i przyjemne, ale nie mamy z nimi nic wspólnego. Jestem dzieckiem komunizmu, więc

jadę zobaczyć i dotknąć to, w co ten komunizm się zamienił. Jeżdżę do Rosji zobaczyć, jak można było ten kraj spustoszyć mentalnie. Po co miałbym do Szwajcarii jeździć?

AC: Przyjeżdża Pan też do Łodzi, jak postrzega Pan to miasto?

AS: Lepiej. Ale to nie znaczy, że jak wygląda gorzej, to mi się nie podoba. To jest wyjątkowe miasto. Jedyne tak urozmaicone w sensie spustoszenia. Miasto o tak krótkiej i gwałtownej historii. Jest tu i pomieszanie, i samozagłada miasta, i energia. Przywiozłem tu kiedyś Daniela Kaldera, Szkota, który wcześniej też wsiąkł w Rosję, napisał piękną książkę. Jechaliśmy ulicą Piłsudskiego, parę lat temu tam był ciąg zrujnowanych kamienic – zachwycał się. Oczywiście wyjechał z Łodzi.

Jestem przyjezdny, nie oczekujcie ode mnie głębokich diagnoz. Mówię, co widzę: zmęczenie łódzkiej twarzy. Heroizm ludzkiego trwania.

AC: Czy to jest książka intymna?

AS: Tak, trochę jest intymna. Tak jak życie jest faktem dosyć intymnym. Na tyle, na ile mogliśmy sobie pozwolić. Nie jest tak intymna, jakby mogła być, ale nie wypadalo. W czasie, kiedy wszystko jest na sprzedaż, kiedy o wszystkim się opowiada, nie można takich rzeczy robić. Oczywiście, sprzedaloby się trzy razy więcej.

AC: Poprzednia Pana książka, *Wschód*, również jest książką bardzo osobistą.

AS: To jednak była literatura. Tutaj jest słowotok, logorea. Może to z wiekiem przychodzi, że człowiek znajduje taki język do opisu tego, co intymne, żeby to nie było wulgarne. Język, którym można opisać własną intymność tak, żeby była też cudzą intymnością. Z czasem książki stają się mniej egoistyczne, chociaż pisząc, nie myśli się o ludziach.

AC: Wraca do Pan miejsc już odwiedzonych?

AS: Teraz, jadąc do Mongolii, będę jechał przez miejsca, przez które już jechałem, ale tam jest niewielki wybór dróg. Pisząc *Jadąc do Babadag*, obsesyjnie odwiedzałem pewne miasteczko na granicy węgiersko-słowackiej. Zbaczalem z drogi, żeby tam zajechać, zobaczyć upływ czasu. Podobnie miałem z Duklą, w kółko tam jeździłem. Kilkanaście razy, żeby napisać sto dwadzieścia stron.

AC: Przeglądając Pańskie wywiady, pomyślałam, że skoro nie lubi Pan spotkań z publicznością, to chyba samochody sprawiają, że jednak Pan jeździ. Dają chwilę wolności?

AS: Podróżowanie samochodem jest bardzo ważnym elementem takich spotkań. Żałuję, że nie jadę stąd na przykład do Pabianic. Mam potrzebę spotkania z przestrzenią, dotykania tego kraju. Lubię patrzeć, jak się krajobraz przesuwa za szybą, jak się ludzie zachowują rano na rynku, jak rano w hotelach faceci po przepitej nocy wskakują w garnitury, bo są w delegacjach. Na kacu wyjeżdżają, ryzykują zatrzymanie. To sól ziemi, polska klasa średnia.

Lubię być niezauważanym i patrzeć na świat. Jechać, żeby mieć skąd wrócić. Jechać, póki jest siła w tę nieskończoność. To są gówniarskie marzenia, które realizuje się w podeszłym wieku.

STRESZCZENIE

Zapis dwóch rozmów z pisarzem Andrzejem Stasiukiem, które Agnieszka Cytacka przeprowadziła w 2015 r. Pierwszy z wywiadów dotyczy książki pt. *Wschód*, drugi zaś *Życie to jednak strata jest. Andrzej Stasiuk w rozmowach z Dorotą Wodecką*.

Słowa kluczowe

Stasiuk, *Wschód*, podróże

248

SUMMARY

You don't know why you go. Andrzej Stasiuk interviewed by Agnieszka Cytacka

Two conversations with writer Andrzej Stasiuk in 2015. The first interview covers the book *Wschód*, while the other – *Życie to jednak strata jest. Andrzej Stasiuk w rozmowach z Dorotą Wodecką*.

Keywords

Stasiuk, *Wschód*, travel